Nr. 13. We Lwowie dnia 1. kwietnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Twórca odrodzenia czeskiego

w sprawie polskiej.

(Na podstawie listów Józefa Jungmanna do Antoniego Marka, ogłoszonych w „Czasopiśmie Muzeum czeskiego" 1881—1883 i 1886 r.).

(Dokończenie).

Widocznie wiara w owo złączenie zachwiała się, skoro ustępstwo to czyni na rzecz Rosji i nawet do tego się posuwa, że utożsamia ją ze Słowiańszczyzną. Pisze bowiem 1. kwietnia: »Słowianie z pewnością nie upadną«, a jako refren w eligijnym tonie dodaje: »Polaków mi jednak żal; tak pięknie poczęli się na wierzch wybijać...«

Napoleon runął, upadła Polska, wykrojono z niej królestwo kongresowe, mniemając, że tem sprawę polską ubito. I Jungmann milczy o niej czas dłuższy, by z pierwszą wieścią o rzekomym planie połączenia Czech, Morawy i Polski »w jedno słowiańskie królestwo austrjackie« znów puścić wodze filologicznym mrzonkom w liście z 29. grudnia 1817: »Niechby tam (w tem królestwie) sobie obrali czeskie lub polskie n a r z e c z e za panujące, toć przecie byłoby to tylko narzecze słowiańskie, a może zrosłoby się z drugiem pięknie w jedno!« Szkoda, że choć trochę tej wyrozumiałości, wywołanej uciskiem niemieckim czasów owych, który Jungmann przeklina wcale dobitnie w tym liście, nie przyswoili sobie wraz z innymi poglądami jego dzisiejsi Czesi wobec naszych dążeń na Śląsku.

Trzynaście lat odtąd głucho o sprawie polskiej w listach słownikarza czeskiego, który tymczasem przeniósł się do Pragi. Dopiero r. 1830., który obudził tyle nadziei, wkłada uczonemu profesorowi znów pióro do ręki dla nakreślenia tak zwodniczych przepowiedni, jak następująca (pod dniem 15. czerwca): »Co do Polaków mają tu nadzieję, że car rosyjski okaże się dla nich łaskawszym i skłonnym do przywrócenia im pierwotnej konstytucji... Niektórzy z tutejszych zapewniają, że kongres londyński ujął się za nimi, albo raczej najwyżsi naczelnicy państw europejskich. Może być, że to wielkie zbrojenie się w całej Europie doprowadzi do pokoju trwałego bez dalszego krwi rozlewu..« Wypadki zadały kłam tej wróżbie w wielu punktach — przedewszystkiem w najbliżej nas obchodzącym. Wybuchło powstanie listopadowe, nastąpiła rosyjsko-polska wojna, czyli — jak ją zwie czeski profesor — »niezgoda«, która i Czechów myślących oczy na się zwróciła (list z 14. stycznia 1831). Jungmann wobec wypadków nowych jednak wraca do dawnych poglądów i odświeża je tylko w liście z 2. czerwca, bo, biadając, że rzeczy tak daleko zaszły, w tem szuka pociechy, że wojna ta »może będzie mieć lepszy wynik dla Słowiańszczyzny, niż myślimy«. Gdy więc dochodzi go wiadomość o zajęciu Wilna przez powstańców litewskich, regestruje ją tylko z uwagą, że jeśli tak jest, to wogóle Polacy są jeszcze górą. Dopiero upadek powstania rozkneblowuje mu usta i wywołuje następujący sąd jednostronny, podany z dodatkiem stereotypowego już u niego żalu (5. października): »Ja Polaków żałuję, ale cieszę się ze względu na Słowiańszczyznę, widząc, że u b y ł w i e l k i w r ó g d o m o w y« (!). Musiałby boleć niewymownie tak surowy wyrok jednego z najlepszych synów pobratymczego narodu, zwłaszcza, gdy z tego samego listu dowiadujemy się, że »prascy Niemcy i tamtejsi przyjaciele Polaków (a więc i wtedy ich nie brakło) częścią oniemieli, częścią skrycie w a r c z ą na tych barbarzyńców Rosjan«, — musiałby boleć, powtarzam, gdyby nie motywy jego, które dalej marzyciel-filolog wyłuszcza w ten sposób: »Przez stłumienie polszczyzny rozszerzy sie n a r z e c z e rosyjskie, co może być pierwszym krokiem do powszechno-słowiańskiego narzecza piśmiennego, którym nie będzie żadne inne, jeno rosyjskie, bo ażeby dopiero tworzyć się miało takie narzecze z mieszaniny jakiej innych, to niemożliwem jest pod tylu berłami, nie mówiąc już o tem, że naród panujący, jakim jest rosyjski, nigdy nie zechciałby odstąpić od swego narzecza w czemkolwiek. Nienawiść Polaków ku Rosjanom jest niezmierna, polityka niemiecka szczułaby ich wiecznie i tym sposobem tylkoby się Słowiańsz-

czyzna osłabiała wiecznie wzajem. Niech Bóg ma w opiece to i owo narzecze, byle się główne zachowało«. Tylko drogą takiej sofisterji mógł dojść czeski uczony do konkluzji: »A więc cieszę się z upadku biednych Polaków«.

Trzynaście znów lat minęło, zanim starzejącemu się już Nestorowi uczonych i pisarzy czeskich nadarzyła się sposobność dotknięcia sprawy polskiej ponownie w *postscriptum* do listu z 29 marca (1843). Mianowicie uwięzienie Polaków we Wiedniu z powodu znalezionych u nich jakichś dzieł wyrwało mu z ust okrzyk: »Co ten nieszczęsny naród zamyśla?!« A był to okrzyk ostatni, ostatnie pytanie, na które mogły mu dać odpowiedź lata następne i to lat długi ciąg — odpowiedź, wtłaczana napowrót w gardła, z których się rozlegała na całą Europę, bagnetami i zagłuszana razami nahajek. Odpowiedź tę i dziś każdy z nas dać potrafi, choć zmieniliśmy środki i drogę, mającą nas zawieść do wymarzonego celu, lecz też dziś, patrząc na skutki półwiekowego durzenia się utopjami jungmanowskiemi w Czechach, spytajmy: »Co ten nieszczęsny naród zamyśla?!« a wątpię, czy w zgiełku setek odpowiedzi rozeznamy tę właściwą, którąby powtórzył cały naród, całe społeczeństwo.

Dr. Fr. Krczek.

Nauczyciel ludowy we Francji.

II.

Z powyższego przeglądu stosunków na początku wieku bieżącego wyprowadzić należy ten wniosek, że zabezpieczenie materjalne i podniesienie poziomu duchowego nauczycieli ludowych jest pierwszym warunkiem rozwoju oświaty tak dobrze we Francji, jak i gdzieindziej. Zapewnić byt materjalny w nowożytnem społeczeństwie, rządzonem przez centralistyczną instytucję państwa może tylko państwo samo. Dopiero około 1833 r. widzimy we Francji, że państwo robi poważniejsze wysiłki w tym kierunku. Guizot, którego »każde prawo było instytucją«, jak powiada Taine, przy wielu innych reformach podjął przedewszystkiem reformę stanu nauczycieli.

Odnośne artykuły (4, 14, 23) prawa z 1833 r. określają konieczne, zagwarantowane minimum pensji dla nauczyciela ludowego poza dotychczasową opłatą od ucznia. Minimum to wynosi tylko od 200—400 franków rocznie; po za tem ma nauczyciel ludowy prawo do lokalu i do dawnej opłaty od ucznia. Jest to pierwszy krok na drodze właściwej. Jednocześnie w samem społeczeństwie, mianowicie na prowincji, objawia się dążność do podniesienia poziomu ukształcenia nauczyciela. Za przykładem krótkotrwałej próby z czasów pierwszej respubliki między 1826 a 1833 rokiem powstają w departamentach szkoły normalne dla nauczycieli. Charakterystycznym jest fakt, że jeden z pierwszych zakładów tego rodzaju powstał w Strasburgu (1810 r.) gdzie wpływ niemiecki mógł najrychlej przeniknąć. W roku 1836 po wydaniu praw Guizot'a liczy Francja 74 szkół normalnych: wszystkie prawie powstały w ciągu lat 10.

Gdyby w ten sposób podjęty przykład Niemiec i tradycje pierwszej respubliki były rozwijane bez przerwy w dalszym ciągu — Francja w krótkim czasie mogłaby sprawę oświaty ludowej postawić na trwałych podstawach. Niestety jednak, między pięknym okresem Guizot'a a 7-ym dziesiątkiem lat bieżącego stulecia nieustające zmiany polityczne i zamachy przerwały rozwój instytucji. Szczególnie zgubnym dla oświaty ludowej okazał się okres pierwszy panowania Napoleona III. i związane z nim słynne »liberalne« prawo 1850 r. Prawo to przedewszystkiem oddawało wychowanie napowrót w ręce kleru, przez co stanowisko nauczyciela świeckiego stawało się niezmiernie chwiejnem. Siostry zakonne np. miały przywilej nauczania bez świadectwa nauczycielskiego, a jedynie za upoważnieniem przełożonych. Sama wreszcie instytucja szkół nauczycielskich, tak niezbędna dla oświaty ludowej została zachwianą.

Artykuł 35. prawa z 1850 roku opiewa, że »szkoły normalne mogą być zamykane, jeśli rada jeneralna departamentu uzna to za stosowne«. Jakoż departamenty, w których przeważały wpływy wrogie wychowaniu ludu przez nauczycieli świeckich, skorzystały z art. 35. i zamknęły swe szkoły nauczycielskie. Departamenty powyższe należą dziś do najbardziej cofniętych w oświacie. Nie koniec na tem: rozporządzenia rządu oddały los nauczyciela wiejskiego w ręce prefekta lub ministra, którzy stawali się bezpośrednimi panami szkoły elementarnej i mogli bez apelacji usuwać nauczycieli. Wreszcie w r. 1852 ministerjum Fortoul'a obniżyło pensję nauczyciela wiejskiego o 100 franków i zadało tem najdotkliwszy cios klasie, która i bez tego w dostatki nie opływała.

Takie były koleje nauczyciela ludowego w okresie praw »liberalnych«. Kilkanaście lat takiego stanu rzeczy nie mogły dodatnio wpłynąć na rozwój oświaty w kraju: raporta ministra Duruy'ego z r. 1864 konstatują, że $^1/_3$ część popisowych nie umie czytać, że 36% zawierających małżeństwa nie umie podpisać kontraktu ślubnego, że wreszcie $^1/_5$ część dzieci Francji nie uczęszcza do szkoły, a te, które uczęszczają, odnoszą bardzo słabe korzyści. Z nastaniem Duruy'ego sprawa nauczycieli przyjmuje znowu obrót pomyślny. Duruy, będąc sam nauczycielem przez długie lata, kwestję oświaty znał dobrze i brał ją ze stanowiska praktyki i potrzeb rzeczywistych. Rezultatem tego było, że za najpil-

niejszą potrzebę uznał sprawę podniesienia samodzielności, godności i dobrobytu ciała nauczycielskiego. Druga połowa rządów Napoleona III. okazała się bardziej sprzyjającą reformom pożądanym i położenie nauczycieli niebawem znacznie się polepszyło.

W polepszeniu tem widzimy znowu owe niezbędne dwa czynniki: pensję stałą i jako tako zabezpieczającą byt oraz przywrócone znaczenie szkół normalnych. Pensja w owych czasach wynosiła od 600 do 800 franków, szkoły zaś normalne pomnożyły znacznie ilość stypendjów, co umożliwiło studja dla warstw niezamożnych t. j. tych, dla których skromne stanowisko nauczyciela ludowego było jedynie ponętnem.

Ostatecznego jednak uregulowania tej sprawy nie doczekało się społeczeństwo francuskie przed r. 1870. Trzeba było tej klęski, która tak głęboko wstrząsnęła życiem Francji, ażeby wreszcie znaleziono i środki i zapał potrzebny do naprawy. Nie mówię tu o wpływie zmiany rządu, która bezwątpienia miała wielkie znaczenie, bez której jednak gdzieindziej, jak np. w Niemczech, dokonano tego samego dzieła jeszcze wcześniej i na większą skalę, niż we Francji.

Okres, w którym Simon, Ferry, Spuller i t. d. byli wykonawcami dobrych tradycji Guizot'a i Duruy'ego lub Condorcet'a i Konwencji zaznaczył się następującemi zasadniczemi zmianami w położeniu nauczyciela ludowego:

1) Ukończenie szkoły normalnej lub równoznaczne świadectwo nauczycielskie stało się obowiązującem *de facto*; obowiązującem też stało się utrzymywanie przynajmniej jednej takiej szkoły dla każdego departamentu. W r. zaś 1881 zawotowano bezpłatność szkół normalnych

2) Państwo zagwarantowało nauczycielowi ludowemu pensję 600—1000 franków rocznie, usuwając raz na zawsze niepewny dochód z opłat szkolnych. Nie mogło zresztą być inaczej w przededniu zawotowania nauki bezpłatnej.

3) Nauczyciel i szkoła ludowa poddane zostały władzy Akademji prowincjonalnych, t. j. instytucji fachowo powołanych do opieki i sądu w sprawach oświaty. W ten sposób położono koniec samowoli prefektów, poniżającej stan nauczyciela dotychczas.

Te trzy zasadnicze reformy, wyraziły się w licznych aktach prawodawszych od 1870 r. aż do chwili obecnej. *

W roku 1886-7 widzimy około 9000 uczni-nauczycieli w 81 szkołach normalnych we Francji.

Prawda, że w tym samym czasie, bo w r. 1882, Prusy liczyły 111 seminarjów nauczycielskich i 10.000 uczniów; w całych zaś Niemczech było około 260 zakładów, kształcących nauczycieli ludowych — nie zapominajmy jednak, że Niemcy o całe stulecie wyprzedziły Francję na tem polu. Bądź co bądź Francja w ciągu kilkudziesięciu lat ostatnich zwłaszcza zaś od r. 1870 zrobiła wysiłek olbrzymi. Widzieliśmy, w jakich podstawnych punktach streścił się ten wysiłek względnie do położenia nauczyciela ludowego. Pozostaje z kolei rozpatrzeć stan chwili bieżącej.

Antoni Potocki.

* Bardzo treściwy i zajmujący opis współczesnych instytucji wychowania elementarnego we Francji znajdzie czytelnik w dziełku G. Compayré p. t. *Organisation pédagogique des écoles primaires. 1890.*

Ideał panny Julji.

(Ciąg dalszy).

Ból wielki na chwilę przemknął po jej rysach.

— Dlaczego mam zostać? — spytała z goryczą.

Czy zrozumiał intencję tego pytanie? Może, bo mocniej wspierając się o krawędź biurka odrzekł wzruszony:

— Szukasz pani czegoś lepszego w swem życiu; życzę z duszy, abyś znalazła. Lecz wierz mi pani, każdy ma swoją niedolę, od której uciec trudno. Ci właśnie, których świat za szczęśliwców uważa, ci mają może najwięcej do zniesienia. Ludzi sądzi się z pozorów, a tymczasem życie wewnętrzne, rodzinne, pozostaje zawsze nieznane.

— Nie umiem uległe cierpieć; gdy mnie co męczy, staram się usunąć.

— Czasem bywa to niemożebne. Lecz w najgorszem nawet położeniu możemy wyrobić sobie byt znośny. Kiedy się ma jakiś cel w życiu, który się bardzo ceni, to wszystko inne, choćby najprzykrzejsze, znosi się jakoś. Do tych przykrości nie przywiązujemy wtedy wielkiej wagi, mając myśl czem innem przesłoniętą.

— Tak, gdy ma się ten cel! — odparła w zamyśleniu.

— Co pani daje tę pewność, że tam ci będzie lepiej? — ciągnął dalej. — O wszelkie posady dla kobiet jest bardzo trudno; tu masz pani trochę lekcji, a pracy u mnie nigdy ci nie zbraknie. Właśnie miałem prosić panią, abyś, jeśli możesz, podjęła się przetłomaczenia tego oto...

Wstrzymała go ruchem ręki,

— Dziękuję panu za współczucie — podkreśliła to słowo — ale tego zrobić nie mogę. Przyrzekłam wujowi i słowa zmienić nie mogę

I po chwili, wyciągając doń rękę, dodała:

— Żegnam pana.

Ujął tę rękę, mocno ją uścisnął i zatrzymał w swojej.

— Będzie mi tu bez pani ciężko, bardzo ciężko — rzekł znowu swoim miękkim szeptem.

Usta jej drgnęły boleśnie, pochyliła głowę i oczy przysłoniła powiekami. Trzymając jej rękę w swoich, postępował obok niej do drzwi. Tu ją zatrzymał.

— Kiedy się zobaczymy? — pokornie prawie zapytał. — Wszak będziesz pani tu przyjeżdżać?

— Jeśli wypadnie potrzeba.

— Niechże mię pani wtedy nie ominie, koniecznie, proszę! A jeśli znajdziesz się pani w jakiej potrzebie, to zwróć się do mnie. Czy mi to pani przyrzekasz?

Mocniej uścisnął jej rękę i spojrzał w oczy błagalnie.

Ona z każdą chwilą stawała się smutniejszą i bardziej powolną.

— Przyrzekam — powiedziała tak cicho, że bardziej domyślił się, niż posłyszał.

Pochylił głowę i na chwilę gorącemi ustami przylgnął do jej ręki.

— Bądź zdrów! — szepnęła uroczyście końcami zbielałych ust. Wysunęła mu rękę z dłoni i znikła za drzwiami.

Stał chwilę jak ogłuszony, z natężeniem patrząc w drzwi, które ją skryły. Zdawało się, że gotów rzucić się za nią, zawołać ją, zawrócić. Lecz po chwili podszedł tylko do okna i szarpnąwszy roletę, twarzą przypadł do szyby. Dróżką, wiodącą wśród trawników, podążała właśnie do furtki. Biegła tak szybko, jakby uciekała. Gonił wzrokiem jej wysmukłą postać, jej kształtną głowę, nizko pochyloną i kontur bladego policzka, do połowy skrytego rondem kapelusza. Patrzył z żalem i myślał, że w następnej chwili wszystko to raz na zawsze zginie mu z oczu. Biała, bez rękawiczki ręka — ta sama, którą on czuł tu przy swych ustach, sięgnęła do klamki. Furtka ciężko się otworzyła; w jej ramach na jedno mgnienie oka zarysował się jeszcze kontur jej postaci, poczem drzwi szybko zapadły i widzenie znikło. Drgnął, zdało mu się, że aż tu słychać ostry zgrzyt bloku u furtki. Odszedł od okna, zagłębił się w fotelu i głowę na ręce pochylił.

Doświadczał uczucia niewymownej goryczy. Teraz dopiero, gdy odeszła, uczuł, jak wiele z nią traci. Wydało się mu, jakby nagle zgasł jasny promień, który rozweselał mu życie. Przywykł był co dni kilka widzieć i słyszeć ją wchodzącą do siebie, przywykł do tego miłego wrażenia, jakiego doświadczał, widząc ją krzątającą się tu między jego biurkiem i cennymi skarbami szafy. Przez lat kilka, można powiedzieć, że nie dla niego, ale z nim pracowała. Teraz tylko uprzytomnił sobie, ile piękna i żywych iskier wnosiła do jego zbyt suchych może prac literackich. »Jeśli to niezbyt śmiałe — mówiła wtedy z zachwycającym wdziękiem — pozwoliłam sobie ten okres w taki a taki sposób rozszerzyć«, albo: »czy nie byłoby to dobitniej, gdyby końcowy ustęp dopełnić paru podobnemi zdaniami« i nieśmiało, rumieniąc się, jakby popełniła największe zuchwalstwo, przedstawiała mu krótkie ustępy, pełne zachwycającej werwy i jędrnych wyrażeń. Jak ona go rozumiała! Umiała podchwycić tam właśnie, gdzie jego pióro nie miało dość mocy rozwinąć zarysowujących się w myśli okresów. A jak to robiła z wdziękiem i łagodną skromnością! Miłe stworzenie! I oto nagle nie zobaczy jej już nigdy. Dla czego to zrobiła? Była mu tak przyjazną, dlaczego tak go skrzywdziła.

Gdzieś, w najgłębszym zakącie duszy, głos mu jakiś wyszeptał odpowiedź. Krew nagle uderzyła mu do skroni i radość szalona zawrzała w piersiach. Byłby szczęśliwy! Raz w życiu byłby szczęśliwy! I nigdy dotąd mała obrączka ślubna nie wydała mu się takiemi ciężkiemi kajdanami, takiem okuciem grobowem, gniotącem mu myśl i serce. Machinalnie zsunął ją z palca i cisnął na stosy papierów. Odrzucił głowę na poręcz krzesła, przymknął oczy i utonął w marzeniu. Cudne doliny Szwajcarji, szalety górskie wśród róż i wina, powietrze włoskie wonne, gorące, przesuwały mu się w myśli barwnymi obrazami — i przy nim ona, zawsze ona...

Ale piękne marzenie prysło. A żona? spytał siebie. — Hodowałaby pieski do końca życia i kłóciła się ze służącemi — odpowiedział sobie z ironją. Lecz najprzód cały korowód rozwodu — hałaśliwy, wstrętny, pochłaniający tyle kosztów i czasu. Dalej, zwrócenie żonie sum posagowych i co zatem idzie, powrót do dawnego czarnego kawałka chleba. Profesura, tylko profesura, choćby wspierana zarobkowaniem literackiem, wydała mu się nędzą. Ciężkie nieznośne życie! Zawszeż człowiek musi być niewolnikiem, przykutym do jakiejś taczki bez nadziei nawet swobody? Padół płaczu — nic więcej.

Rozwód?... Oczywiście byłoby to szaleństwem; skąd to mogło przyjść mu na myśl? Wprawdzie niejednokrotnie ciężyło mu tak pożycie ze skapryszoną dziwaczką, że wolałby wszystko, niż świadomość, iż jest pod jednym z nią dachem; wprawdzie wiedział, że i ona czułaby się bez niego szczęśliwsza i bardziej może normalna — lecz myśl o rozwodzie nigdy mu nie przyszła do głowy. Po co to? Tysiące małżeństw żyje tak przecież, a rozwodem rzadko kto kończy. Trzeba się zgodzić z tem, co jest; gdy łańcuch taczki niemożebnym jest do zerwania, pozostaje tylko pchać ją dalej. Lecz uczuł, iż od dziś będzie mu to o wiele trudniej; zabraknie owego promienia.

— Mój ty uroczy pomocniku! — westchnął z głębi piersi i począł myśleć o jej losie. I ona przemęczy się, biedaczka; chociaż może to lepiej dla niej, że wyjechała. Jeśli otrzyma ową posadę, to będzie miała całą przyszłość zapewnioną. W takich okolicznościach prędzej może nawet wyjść za mąż.

Poruszył się w krześle, dotknęło go to przypuszczenie.

— Kobiety mają głowę nabitą jedynie małżeństwem — wielka pociecha! I czego jej tu brakło? Chyba tylko za mężem goni...

Otrząsł się ze swoich myśli. Tyle czasu stracił, a gdy niema pomocy, to w dwójnasób trzeba pracować. Musi poszukać sobie nowego kopisty, to znowu kłopot niespodziewany! Dość marzeń, trzeba wziąć się do pracy.

Kończąc tę myśl podjął ze stołu obrączkę i włożył ją na palec, poczem zabrał się do przerwanej pracy. Pióro znowu gorliwie przesuwało się po papierze: cisza nastała, tylko zegar szemrał rytmicznie. Profesor pogrążył się cały w notowaniu nazw i właściwości owadów.

Tejże nocy pociąg dążący do W. unosił pannę Julję i jej brata. Pasażerowi spali mocno, przysłonięta lampka słabe rzucała światło. Panna Julja siedziela u okna, oczami goniła za deszczem iskier, lecących wśród ciemnej nocy, a łzy jedna za drugą spływały po bladych policzkach i ciężkiemi kroplami spadały na ręce, na kolanach splecione.

(D. c. n.) *W. Dalecka.*

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

(Ciąg dalszy.)

Wciąż jeszcze szemrząc na zaspanie się nie w porę, zarzuciła Marcinowa z pośpiechem ciepłe na siebie ubranie i wzięła kosz w rękę. Obejrzawszy raz jeszcze jak najtroskliwiej dno i rzemienie, wetknęła w jego boki na jakie ćwierć łokcia od brzegu dwa mocne, krzyżujące się pośrodku drążki, oparła na nich okrągłe denko drewniane, położyła na niem kilka osełków masła i białą szmatą takowe przykryła.

Szła właśnie ku drzwiom, gdy nagle otworzyły się one na oścież i postać jakaś wpadła do izby. Marcinowa przelękła się myśląc, że to ktoś z urzędu na rewizję przychodzi, jeżeli się pakuje do jej izby, jak do własnej, gdy wtem poznała przy świetle łuczywa — Vendulkę Palucką.

Stara, którąby się prędzej spodziewała ducha ujrzeć u siebie niż siostrzenicę o tej godzinie, oniemiała ze zdumienia. Ale Vendulka, nie czekając na powitanie ciotki, padła zadyszana na najbliższą od progu ławkę, wołając przerywanym głosem:

— Dzięki niech będą niebu, żem was jeszcze w domu zastała!

— Na Boga, dziewczyno, co tu robisz o tej porze? — zawołała Marcinowa, wychodząc nakoniec z osłupienia — płoniesz cała, jak w ogniu i tchu nie masz w piersiach. Może dziecko Łukasza zachorowało, może więc chcesz, abym przez przemytników sprowadziła z Żytawy jakiej maści dla niego? Mów-że, mów śpiesznie! Stoję jak na cierniach, bo oddawna powinnam już być w lesie. Co tam sobie stary Mateusz o mnie pomyśli? powie z pewnością, żem od innych nie lepsza.

— Niema na całym świecie maści na chorobę, która mię tutaj od Łukasza przygnała! — zaszlochała rozpaczliwie Vendulka.

— Co... coś rzekła?

— Że już po ślubie moim z Łukaszem.

— Czyś zwarjowała, dziewczyno?...

— Nie, jak zaraz o tem się przekonacie, choć nie byłoby nic dziwnego, gdybym utraciła rozum naprawdę.

I szczerze opowiedziała ciotce o wszystkiem, co zaszło między nią u Łukaszem.

— Do ojca wrócić nie mogę, jak wiecie — kończyła swoją opowieść — przepowiadał, że się nie zgodzą z Łukaszem, a teraz zadręczyłby mię kazaniami i wyrzutami, żem go nie usłuchała. Do miasta między obcych nie chce mi się także iść, umarłabym, zdaje się, z tęsknoty, gdybym nie widziała naszych gór, nie słyszała górskiej naszej mowy. Owóż w tej trosce przypomniałam sobie, że szukacie pomocnicy. Wierniejszej odemnie chyba nie znajdziecie, a czego jeszcze nie umiem, tego nauczę się przy was w krótkim czasie. Wszak sami wiecie, że nie jestem ani bojaźliwa, ani rozpieszczona i żem na głowę nie upadła; a mnie nigdzie nie będzie tak dobrze, jak u was. Wiedzą wszyscy, że albo wypoczywacie, albo po dalekich wędrujecie drogach i dla tego nikt nie przychodzi do was w odwiedziny, więc też nikt się nie dowie, że u was się ukrywam i tak ojciec, jak Łukasz uwierzą, żem uciekła do jakiego miasta na służbę i dadzą mi spokój. Chociaż z ich strony nie mam się czego obawiać: ani jeden ani drugi z pewnością gonić za mną po świecie nie pomyśli, owszem cieszyć się będą, gdy i wieść o mnie zaginie.

Płacz przerwał dalszą mowę Vendulce, a Marcinowa splunęła energicznie z pod ręki.

— Umiesz napędzić człowiekowi strachu, dziewczyno, żeby się jasny zatrzasnął piorun! — rozgniewała się na siostrzenicę. — W pierwszej chwili sądziłam naprawdę, że kto wie co zaszło między tobą a Łukaszem.

— Alboż nie?! alboż nie słyszeliście, jaką mi wyrządził krzywdę w oczach całego świata, i za co?

Ale Marcinowa wciąż jeszcze kręciła głową, niezadowolona, że ją Vendulka całkiem niepotrzebnie nastraszyła.

— Co zrobił ci Łukasz, byłby ci zrobił każdy inny — uspakajała szlochającą dziewczynę — któremuż to oblubieńcowi może się podobać, gdy jego wybrana bardziej się troszczy o nieboszczyka, niż o niego, choćby tym nieboszczykiem była własna jego żona? Że ci to na myśl nie przyszło wpierw, nim od niego uciekłaś? I czy to on pierwszy z tego powodu szaleństwa wyprawia? A czy nie pamiętasz, co się działo, gdy Mraczkowa poszła gospodarować przed ślubem w domu dzisiejszego swego męża, który był także wdowcem i miał aż dwoje dzieci po pierwszej żonie? Nie chciała i ona słuchać od niego o światowych rzeczach, bo się bała, aby nieboszczka nie straszyła jej nocami: a on co na to? Pochwycił nóż, porozpruwał wszystkie pierzyny, jakie się w domu znalazły i wysypał z nich oknem całe pierze; mieliśmy we wsi istną śnieżycę na śś. Piotra i Pawła. A hen, u Kawków czy było inaczej? Gdy panna młoda przestrzegała swego przyszłego, aby jej w policzki tak wciąż nie szczypał, bo cóż sobie pomyśli na tamtym świecie nieboszczka? on poleciał jak opętany do gospody i zakupiwszy wszystkie beczki z piwem, powyciągał z nich czopy i wypuścił całą zawartość na plac, aby stąd miała zmartwienie, i ludzkiego śmiechu najadła się do syta. Tak, tak, moja panienko, mężczyźni wszyscy są jednacy: taki już mają obyczaj, że za jakąbądź cenę utrzymać chcą swoje panowanie i ani ty ani ja nic na to nie poradzimy. Każda panna młoda, która idzie gospodarować do domu wdowca, a chce uszanować pamięć swej poprzedniczki, musi wiele przecierpieć, ale za to zdobywa sobie szacunek męża aż do śmierci. Nic na tym świecie nie daje się darmo, skądżeby więc tak z niczego człowiek miał do szacunku dochodzić? Co zaś do tej waszej kłótni, to nic a nic sobie z niej nie robię: skończy się ona, niby burza wiosenna, która gwałtownie sobie poczyna, ale krótko trwa, i po której tem bujniejszą zielonością przystraja się ziemia. I komu to chcesz wmówić, że tybyś potrafiła obejść się bez niego, a on bez ciebie? Daj lepiej spokój, bo śmiechem parsknę ci w żywe oczy. Ta krew właśnie, jednakowo burzliwa w obojgu, nie przestanie wabić was jedno ku drugiemu aż do śmierci. Łukasz, wyspawszy się ze swej złości, żałować będzie tego, co zrobił; ty, gdy posiedzisz tu w samotności do jutra, wyznasz niemniej sama przed sobą, że tego i owego mówić ci ani czynić nie należało, i zaraz gniew wyszumi wam z głów, krew się uciszy, rozum przemówi i dawna miłość zbudzi się w sercach silniejsza, niż kiedykolwiek.

— Nie zbudzi się, nie zbudzi! — zawołała, ile jej głosu starczyło, Vendulka, która zaledwie pohamować się mogła podczas tej długiej przemowy ciotki. — Ale coście to rzekli, że się uspokoję, gdy tu w ciszy do jutra posiedzę? Wszak nie zamierzacie chyba zostawić mnie samej, bo chyba zwarjowaćby mi przyszło od tych myśli! Zastanówcie się tylko dobrze nad tem, co mnie spotkało! Ten, dla którego wzgardziłam wszystkimi innymi, który w sercu mojem zajmował pierwsze po Bogu miejsce, ten wystawił mię na pośmiewisko całej wsi, a nadto groził, że dopiero po ślubie zobaczę, czem u niego i dla niego będę! Włosy mi stają dotychczas na głowie, jak o tem sobie przypomnę! Ciociu, musicie mię wziąć do przemytników, abym się rozerwała trochę w tem mojem nieszęściu, bo w przeciwnym razie znaleźlibyście mię tutaj chyba już bez życia.

Marcinowa nie opierała się dłużej błagalnym prośbom siostrzenicy.

— Raz jeden może zresztą i nie zaszkodzi, bo więcej z pewnością już ze mną nie pójdziesz — zgodziła się nareszcie. — No, no, nie zaperzaj się tak zaraz, wszak mam prawo myśleć, co mi się podoba. Głowę dam sobie uciąć, że nie zjesz tu ze mną całego chleba z pieczywa. Chodźmy więc! Ten oto kosz zarzuć na plecy, ja zaś sobie wypocznę dziś przy tobie za to, żeś mię niepotrzebnie nastraszyła. Tak prosto stać pod nim nie powinnaś, musisz się owszem pochylić, aby widziano, że dźwigasz ciężar. Wszak wiesz, ileby ważył taki kosz masła, nie możesz więc z nim pędzić, jak gdyby był puchem naładowany. Kto chodzi z przemytnikami musi zważać na każdą drobnostkę, najmniejsza bowiem rzecz może go zdradzić. Tak, teraz dobrze. Więc z Bogiem naprzód, a prawą nogą ruszaj z miejsca, abyśmy obie zdrowo i cało do domu wróciły. Przemytników moich bać się nie potrzebujesz, są to bardzo porządni ludzie, zwłaszcza stary Mateusz. Tego ostatniego znasz zapewne, i jakżebyś go zresztą znać nie miała? Stoi co niedziela i święto tuż pod amboną, aby pierwszy słyszał słowo boże. Kościół i kazanie to jego rzecz, wielką ma bojaźń bożą. I dlatego z soboty na niedzielę nigdy nie pracuje, a w poście nie zażywa tabaki i fajki nie pali, aby niebo nie odmówiło mu swej pomocy. Powiadam ci, że to człowiek bardzo porządny, a nadto wykapany mój nieboszczyk, jak gdyby był jego bratem rodzonym. Dotąd jest tak zwinny, jak najmłodszy jego syn, nie da się nikomu ująć i sam zawsze cały sznur prowadzi. Ciągnie za nim od dziesięciu do dwunastu jego ludzi o jakie sto kroków jeden za drugim, a stąpają tak cicho. jak gdyby byli duchami z grobu wsta-

łymi. On sam skacze jeszcze, jak jeleń, po skałach, słyszy, jak kuropatwa, a strażnika czuje na pół mili odległości. Jak tylko dostrzeże coś podejrzanego zaraz towarzyszom daje znać i wiedzie ich w takie miejsca, dokąd żaden szpieg gonić za nimi nie zechce. Wychodzę zwykle na ich spotkanie do Krzyżańskich lasów, do miejscowości zwanej Pięknem Źródłem. Oczekuje tam na mnie zawsze ze swoim tobołkiem sam Mateusz, który z żadną inną pomocnicą zgodzić się nie może...

Tłumacz. z czeskiego

C. d. n. *M. W.*

KSIĄŻKA PRZEZ STU AUTORÓW.

Książki, pisane zbiorowo, stają się coraz częstsze; stanowią one wszelako zwykle rodzaj sportu. Mieliśmy powieść, pisaną przez kilkunastu autorów; we Francji wyszła przed paru laty książka, zebrana z niezliczonych komunikatów kumoszek i niekumoszek o przywidzeniach i przeczuciach; ale najrozumniejsze podobno zastosowanie zbiorowego autorstwa znajdujemy w książce włoskiej, wydanej w Medjolanie pod tytułem: *I migliori Libri italiani consigliati da cento illustri contemporanei,* t. j. »Najlepsze książki włoskie, doradzone przez stu znakomitych pisarzy i uczonych spółczesnych«.

Pochodzenie tej książki jest następujące:

Pewien wydawca medjolański, Ulrych Hoepli, rozesłał wszystkim znanym uczonym i literatom włoskim następujące pytania, zredagowane przez profesora J. Fumagalli:

I. Jakie książki uważa Pan za najlepsze w jakimkolwiek dziale naszej literatury, zarówno w zakresie wiedzy jak i sztuki, a przynajmniej jakie są książki włoskie, które wywarły na Niego najgłębsze wrażenie i które najbardziej wpłynęły na Jego powołanie *(sue corso luminoso della sua professione).*

II, Jakie są najlepsze książki, któreby poradził do czytania, jako użyteczne i przyjemne dla wykształconego młodzieńca?

III. Jakieby poradził młodzieńcowi, który ma zamiar poświęcić się tej gałęzi umiejętności lub działalności, którą pan obrał? *(nel qua e Ella e diventato si chiaro!)*

Ze stu odpowiedzi, otrzymanych na te pytania, ułożyła się pierwsza część książki. Drugą stanowi katalog wyborowy i bardzo starannie ułożony z nowszych i lepszych dzieł włoskich ze wszystkich zakresów wiedzy i sztuki.

Pierwsza z tych części jest bardzo pouczająca. Ciekawą jak rzeczą, jak rozmaite umysły reagują na rozmaite książki, zwiaszcza jeśli są to umysły niepospolite, ludzi, którzy w ten lub ów sposób zdobyli sobie imię w literaturze lub nauce.

Z jakiemże zajęciem czytamy w życiorysach znakomitych pisarzów wykazy dzieł, na których kształcił się ich umysł, lub sądy o znanych nam już dziełach w ich pamiętnikach i listach. Bo w takich sądach i zdaniach poznajemy charakter umysłowy lepiej nieraz, niż z długich opowiadań życiorysu, dotyczących zewnętrznych stron życia.

Z innej znów strony zbiór wskazówek takich jak w książce, o której mowa, jest niejako głosowaniem najlepszych umysłów na korzyść dzieł i autorów. A jakże potrzebne jest ono!

Co to znaczy umieć wybrać dobrą książkę. Wybór książek najwięcej wpływa na wyrobienie zamiłowania czytelnictwa, a zamiłowanie to jest źródłem najczystszych i najłatwiejszych do osiągnięcia rozkoszy.

»Gdybym miał możność wyboru takich skłonności i zamiłowania — mówi sir John Herschel — któreby były pomocne we wszelkich okolicznościach i stały się dla mnie źródłem pociech i przyjemności w życiu, tarczą przeciw niedoli pośród najprzyjaźniejszych nawet warunków, wybrałbym upodobanie w czytaniu. Zbytecznem byłoby nadmieniać, że stawiam je tak wysoko ze względów światowych, bynajmniej nie w zastępstwie lub w myśl uchybienia wznioślejszemu nierównie czynnikowi, pewniejszej i potężniejszej warowni — religji. Mówię tu o czytaniu jako przyjemności, jako narzędziu i środku zapewnienia sobie miłych uciech. Dajcie człowiekowi to zamiłowanie i środki zaspokojenia go, a zawdzięczać wam będzie swoje szczęście; chyba, żeby się spotkał z bardzo złym doborem książek«.

Właśnie o ten dobór więc idzie.

Znany u nas i czytywany autor *Powabów życia,* który przez wydanie spisu ***stu lepszych książek*** dał właśnie pochop do całego szeregu prób podobnych, a pośrednio wpłynął i na wydanie książki włoskiej, o której mowa, tak powiada:

»Już to wiele znaczy posiadać bibljotekę; (jakże mało u nas jest takich, co podobnie myślą!) ale inna jest rzecz — rozumnie z niej korzystać. Niejednokrotnie zdumiewał mnie brak rozwagi przy wyborze książek do czytania. Książek jest niezliczone mnóstwo, a godzin na czytanie mamy, niestety, tak mało! A jednak iluż ludzi czyta to tylko, co im w rękę wpadnie. Pożyczają pierwszą lepszą książkę, których u znajomych dostrzegą; kupują na stacji kolei żelaznej pierwszą lepszą powieść, jeśli ma tytuł ponętny; doprawdy, myślę, że nieraz ozdobna okładka wpływa na ich wybór«. Dok. n.

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Luty 1894.

W omawianym zeszycie »Ateneum« zasługuje na razie na zanotowanie rozpoczęty dopiero artykuł L. Biszofswerdera p. t. »Psychologia pierwotniaków i zadania psychologiczne«. Pilnie śledzący za prądami życia umysłowego i społecznego p. Chmielowski w krótkiej rozprawce p. t. »Pretensje indywidualizmu« konstatuje pojawienie się w życiu społecznem »powrotnej fali subjektywizmu«, niewątpliwie do pewnego stopnia pod wpływem rozgłośnej w ostatnich czasach filozofji Nitschego. »Według krańcowych wyznawców tego indywidualizmu dla jednostki świadomej siebie i wyrobionej jedynem prawidłem postępowania pod jakimkolwiekbądź względem powinna być własna jaźń, usiłująca zrzucić z siebie wszelkie pęta, pozbyć się wszelkich wpływów... Moralnem i niemoralnem, dobrem i złem, pięknem i brzydkiem, prawdą i fałszem dla takiej jednostki ma się stać to tylko, co ona sama, bez względu na wszelkie reguły i przepisy, za takie uzna...«. Zaznaczywszy doniosłe znaczenie, jakie ma wytwarzanie rzetelnej samodzielności w uczuciach, myślach i postępkach, odróżnia jednak autor szych od złota: zarozumiałość od samodzielnosci prawdziwej, genjuszów od pretensjonalnej rzeszy genjuszków. Genjusz nie prawi zazwyczaj o swoich zaletach, nie lęka się trwożnie stłumienia swej indywidualności, ale siłą swoją ciągnie za sobą masy, natchnieniem porywa je na wyżyny, czynem wykazuje swą wartość. Inaczej się dzieje z tymi, którzy pod jakimkolwiek wpływem poczuwszy w sobie pewną zdolność wydymają ją we własnem przekonaniu do rozmiarów olbrzymich i usuwają się od wszelkiej skromnej, ale wydajnej społecznej pracy, będącej podstawą całej cywilizacji, dlatego, że nie widzą dla siebie po jej ukończeniu wieńca chwały w panteonie wielkich mężów..

Artykuł S. Kempnera: »Spekulacja akcjami« w zajmujący sposób przedstawia tę gorączkę spekulacyjną, która u schyłku r. 1893 ogarnęła szersze koła w Warszawie i nie ustała po dzień dzisiejszy.

Krótka notatka p. t, »Jak Jankes pisze historję« daje na podstawie własnych wspomnień Bancrofta wiązankę wiadomości o tem, jak powstała znakomita praca tego autora p. t. »History of the Pacifie states«, t. j. historja zachodnich stanów północnej Ameryki. Do napisania tego 39-tomowego dzieła zebrał autor bibljotekę z 25 tysięcy tomów, z których, według instrukcji Bancrofta, cała rzesza pomocników przygotowała krótkie informacje na kartkach. Kartki ułożono kategorjami i sekcjami w porządku alfabetycznym. Po ukończeniu tej przygotowawczej roboty, nad którą pracowało do 20-tu osób, a której koszt wynosił 35.000 dolarów, na podstawie tych informacji zabrano się do drugiej kategorji roboty, do wynotowania z ksiąg i rękopisów wszystkiego, na co informacje wskazują. Notatki owe spisane na arkuszach, oprawione w książki jednego formatu utworzyły 300 tomów. Dopiero z tych notatek przygotowywał adjunkt bezpośredni materjał dla historyka, rozbierając krytycznie i klasyfikując tak skondensowany materjał. »Ten sposób pozwalał mi — pisze Bancroft w swych pamiętnikach — objąć jednym rzutem oka całość świadectw, odnoszących się do rozmaitych części mojej »Historji« i oszczędził mi czasu wraz z nudą, których doznałbym, czytając mnóstwo tekstów, zanimbym odrzucił złe od dobrych«.

p.

Z ruchu piśmienniczego.

»Dzieje początków cywilizacji powszechnej«. Przez Fryderyka Streisslera. Biblioteczka pożyteczna. — Przełożył z niemieckiego Zbigniew Kamiński. Warszawa. Nakładem Michała Arcta. 1895.

Caro Leopold dr. **»Pomoc dla rolników w Austrji«.** Napisał . . . . . . (Odbitka z »Przewodnika nauk. i liter.«). Lwów. 1895, str. 97.

Olechnowicz Wład. dr. **Charakterystyka antropologiczna Litwinów** z okolic m, Olity. (Odbitka ze zbioru wiadomości do antropologji krajowej. XVIII.). — Kraków. 1895. Str. 30.

Przedhistoryczne narzędzia krzemienne zebrane pod wsią Ossówką w powiecie stopnickim, gubernji kieleckiej, przez Erazma Majewskiego. Z 22. tablicami, obejmującemi 1.602 okazy, fotografowane w $^2/_3$ naturalnej wielkosci. Wydanie z zapomogi kasy pomocy dla prac na polu naukowem imienia dra J. Mianowskiego. W języku polskim i francuskim. Warszawa. 1895.

Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich, zawierający ludowe oraz naukowe nazwy i synonimy polskie używane dla zwierząt i roślin od XV. wieku aż do chwili obecnej. — Źródłowo zebrane i zestawione z synonimami naukowymi łacińskimi w podwójnym porządku alfabetycznym i pomnożone porównawczym materjałem, zaczerpniętym z innych języków słowiańskich. Zebrał i ułożył Erazm Majewski. Tom II. Zeszyt 10-ty Słownik łacińsko-polski od *Git. herba* do *Inula Helenium*. — Warszawa. — Nakładem autora. 1895

Nowe prawo o lichwie u nas obowiązujące. — Wykład dogmatyczno-krytyczny i porównawczy przez Franciszka Nowodworskiego, adw. przys. — Wydanie nieurzędowe. — Warszawa 1895.

Rodzina Połanieckich. Powieść przez Henryka Sienkiewicza. — Trzy tomy. — Warszawa — Nakład Gebetnera i Wolffa. 1895.

PRO MEMORIA.

4. kwietnia 1794. Kościuszko stoczył sławną bitwę pod Racławicami.

7. kwietnia 1861. W Warszawie odbyły się tłumne manifestacje, które miały na celu protestację przeciw zamknięciu Towarzystwa Rolniczego.

8. kwietnia 1861. Z rana powtórzyły się manifestacje z dnia poprzedniego Po południu ogromne tłumy zaległy plac Zamkowy, Krakowskie Przedmieście i zaintonowały hymny patrjotyczne. Na wezwanie do rozejścia się, lud wołał do Moskali: »Jesteśmy u siebie, to wy odejdźcie!« Wówczas rozpoczęło się strzelanie do bezbronnych i płazowanie ich białą bronią. Pomimo to bohaterski lud stał, jak mur niewzruszony, wołając: »Lepsza śmierć, niż niewola!«. Dzieci nawet konały z okrzykiem: »Niech żyje Polska!«. W dniu tym krwawej pamięci koło tysiąca było zabitych lub ciężko rannych.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.